Nr. 45.

Biuro Redakcyi przy ulicy Chmielnej blizko Nowego-Świata Nr. 1,260D (3 nowy) w Warszawie.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Prenumeratorowie z prowincyi raczą przedpłatę nadsyłać wprost do Redakcyi, w celu uniknienia zawodu w odbiorze naszego pisma.

OPIEKUN DOMOWY.

Warszawa, dnia 27 Października (8 Listopada) 1871 roku.

ROK VII.

Serya druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie na Prowincyi: r s. 1 k. 20 kwartal. (w tém miesci się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycyę kop. 33¾).
Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u Leitgebera, we *Lwowie* u Wilda Karola, w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

GUADITA.

Ustęp z pamiętników podróży.

(NOWELLA).

Więc jutro we czwartek rozpuści żagle swe, „Stella" — więc jutro odpłyniemy z Hamburga?... O jakżem szczęśliwy!... Z chybkością boga Merkurego dążę do Fritza, rozpłacam się ze wszystkimi i wyczekuję czwartku, — zbawienia!..

Ręczę, że gdybym wziął się wówczas do pióra, z pod niegoby wypłynął poemat, któryby wieki powtarzały, tak byłem natchniony!.. Nie było jednak papieru ani pióra, trzy tylko butelki Börsenbieru, którem z radości jednym haustem wygęgał. Gdy przyszedł Artiur, uściskałem go prawie namiętnie, chociaż ledwo szósty miesiąc upływał od czasu jak na jednéj ze skał fińskich zbroczył w krwi swojéj rzuconą przezemnie rękawicę...

Laura nas połączyła, wracał właśnie od Laury.

Na jego twarzy szczęście — wbiegł raczéj do mnie, niż wszedł i nie zrzucając kapelusza, zawołał:—We czwartek!...



La Trita na wsi w okolicach Rzymu (Kopja z obrazu Poingdestre'a).

Tego dość było, ażebyśmy się stali przyjaciółmi i ledwie słońce wschodzić zaczęło, zerwaliśmy się od stołu, choć essencye Tokaju i Patti złociły się w kryształowych kubkach, a Lottchen i Gretel śpiewały!...

Pędem strzały wbiegliśmy na górę, gdzie Laura spała zbudziliśmy ją i... daléj razem do portu!

Była z nas trójca szczęśliwych. Z jakiémże zachwyceniem patrzyliśmy w słońce ledwo sunące się ku górze... jakże cieszyło nas morze... jak bawiły rybitwy i ptaki!...

O! wszak na Laurę czeka grób nieznanego dziadka w Calais, suto upoetyzowany frankami; ja uciekam od zbytku i miękkości, uciekam od kochanek, któreby mnie uczyniły niewolnikiem, lecę użyć swobody w kraje nieznane i obce; Artiur ma widzieć się z Guaditą, która dziś nabój jedyny jego czaszki stanowi.

I któż ta Guadita?... Gdy wstąpię na morze, opowiem, a teraz niech jeden z współpasażerów moich kończy historyą smutnych czyichś losów i chełpi się z powodzenia, jakie miał *terra barbarorum* bo... na Jowisza! miło mi słuchać ognistéj mowy jego, a Laura się ożywia i mandolina w białéj jéj rączce dźwięczy tak cudnemi aryami, jakby w każdym z tych pięciu paluszków siedział chór cały aniołków czy czartów...

Śliczna mandolina!... Czemuż nie ona rządzi sprawami świata?... Jabym śród tonów tego instrumentu nie sarkał nigdy, nie skarżył się, nie nudził, ach! jabym kochał, kochał wiecznie i czyście i święcie—jabym jak Prometeusz kochał!...

* *
*

Artiur był artystą... Czy wiécie co to artysta?... Artysta to kapłan sztuki powiadacie..zgoda; biję czołem przed ustaloną prawdą. Ale mam własny język i własne zdanie, więc mówię wam: — artysta to waryat; artysta to człowiek posiadający dużą dozę bzika; to człowiek mający jeden łokieć potęgi duchowéj, a cztery głupoty najkomiczniejszéj w świecie — to wcale nie jestestwo podobne do wszystkich... Miota w około siebie bożym promieniem, strzela gromami geniuszu, wylatuje w racach natchnienia pod niebo a jest robakiem ziemi. Zawsze on gra jakąś rolę, a gdy się nie wzniósł do téj wyżyny, aby mógł wysnuć pasmo blagi z samego siebie, zostaje małpą, najniedorzeczniéj, najnieumiejętniéj naśladującą kogoś, co jest dlań niby gwiazdą przewodnią.

Natchnienie to ogień, który wciąż trzeba podsycać... Były wieki wielkie, gdy wszystko, nietylko każde człowieka drgnienie, ale nawet proch przez nogę jego deptany, miały swoją poezyą; były wieki, gdy bogi stąpały po ziemi; gdy ludzie bywali bogami. Tam ten ogień tlał i nie potrzeba było żadnéj siły obcéj, żadnego miecha, któryby tlenu poddawał, dziś—nie to!... Skarlały ludy fizycznie, namnożyły się biédki i kłopotki, długie świata życie wysmażyło massę bagatelek, które się cisną do zmysłów, a ludzkość się bez nich obejść

nie może... Sztucznie potrzeba rozwielmożniać ten twórczy pierwiastek w sobie.

I spójrzmy na tych mistrzów—powiadacie—powłazili na konie drewniane i zdaje się im że są farysami; włożyli czapkę błazna z dzwonkami i myślą że są w koronie... My się z nich śmiejemy, nas śmieszy strój ich i mowa, wołamy na nich — „Stańczyki!" Oni tymczasem choć błazny, trzymają ducha naszego w garści, a my — my ludzie z taktem i poważni... mais pardon d'avoir la temerité de dire la verité—my motłoch i gawiedź...—my im służymy.

(Tak, dziś już jest koniecznością ażeby kapłan sztuki był bzikiem; kto go nie ma, kto nie jest dziwakiem i oryginałem, na kogo nie padło podejrzenie waryacyi,—ten jest tylko szczęśliwym czy nieszczęśliwym z ogólnéj reguły wyjątkiem.)

Otóż Artiur był bzikiem. Wyrwawszy się z miasta, téj wielkiéj pracowni kotletów o różnych sosach i smakach, chciał pożyć życiem artysty. Był tam, gdzie go nikt nie znał, gdzie o nazwisku jego i ptak nie śpiewał w niezrozumiałéj dla ludzi mowie, więc czemuż nie przebrać mu się we wschodni strój? czemu nie poczernić i bez tego już ciemnéj brody? czemu nie zgrywać roli Turczyna?... O dajcie dziecku i poecie swobodę łudzenia siebie, nie brońcie jéj kobietom, nie wstydźcie się jéj sami—ta dziecinada bynajmniéj was nie poniży... Więc harcował po polu, latał po Sierra-Leońskich górach, a gitarę miał w ręku, uczucie w sercu i piękność na twarzy. Grał piosnki, których go kiedyś nauczyłem i pełnym męzkim głosem budził orły po skałach. Ale nietylko niższego ducha twory łapczywie połykały tony gry jego i śpiewu — ich echo zalatywało i do serca mieszkanek rozkosznéj wsi San-Pablo.

Nie byłem w niéj nigdy, ale z woni hiszpańskich łanów, która się o zmysły moje obiła, czuję jak świetną, jak piękną być musiała wioska owa... gdzie Artiur pod czarném Hiszpanek okiem bawił się w Maura romantycznie.

Wyobrażam sobie, jak wysoko nastrojoną miał duszę, jak natchnionym być musiał...

I oto nucił pieśń właśnie w bearnijskiém narzeczu, pieśń, która nas zawsze czarowała, skarżąc się gwiazdom i księżycowi... gdy nagle z mieszkania alkada Don-Parana słyszy dźwięki ulubionéj mandoliny... Były tak urocze, tak chwytające za serce!...

Siadł więc na kamieniu i patrzył, patrzył w wyniosłą basztę klasztoru a duch z falami dźwięków się rozpływał i „tristis luna" zapaliła blaski na szczycie turbanowego półksiężyca.

Kto gra?... Ach! to gra Guadita, wychowanka alkada; to najpiękniejsza z całéj okolicy Hiszpanka a może i najcudniejsza Europejka zarazem...

Nie wspomina jednak Boabdila króla, ani rycerza Cydu, gra pieśń zwyczajną Ave Maria!...

I święte modły dziewicy zapłynęły mu do duszy i on dźwięcznym swoim barytonem wtoruje pieśni religijnéj, a snać wiele wiary musiało być w téj piérwszéj i ostatniéj modlitwie bezbożnika, gdy ze łzą na oku wychyla się z okna Guadita... O jakaż cudna, jakaż cudna!...

Opisywać następującą potém chwilę, byłoby grzeszyć przeciwko poezyi! To śliczną twarz kobiéty malować blanszem i różem. To kalać świętość!..

Tonąc w rozkoszach i zbytku, pijąc pełną czarą zepsucie, mam jeszcze ideały, mam bogi, którem uniósł z potopu i gdy fala korrupcyi po szyi mi pluska, rychléj w niéj zginę, niż penaty moje, bo silną dłonią ponad głową je dzierżę...

Nie kradnę ognia z niebiosów, nie zmuszam żywych słów zakochania, tych potężnych aktorów nieziemskiéj sielanki, skakać na sznurku w czarnych literach po białym brzydkim papierze. Niech matka-natura, która się przy tém modliła, niech wam Bóg wreszcie powie to wszystko na ucho, ja będę milczał i—gdy ujrzałem Artiura znowu, on wdójnasób znowu kochał Guaditę.

I teraz na chyżém skrzydle miłości uleciał znowu Artiur z San-Pablo, a ciało jego wraz z mojém niósł statek „Stella".

Stoimy właśnie na nim, rękę mając w ręce i gdy on morza nie widzi, ja całą piersią piję rozkoszny widok oceanu i po raz piérwszy może w życiu w sobie poznaję i uczuwam męża... O! kto nie igrał ze strzelbą po puszczach méj Białorusi, kto na biegunie w kozaczéj burce nie latał po stepie, kto nie słuchał kul świstu lub nie stąpił na morze—darujcie! w tym nie widzę pełnego człowieka...

Lecz gdzież twa Guadita, o luby Artiurze? gdzie twoja Hiszpanka?... Czyś słyszał śpiew jéj, wszak wracasz z San-Pablo...

Przebóg! tyś blady i błędném spoglądasz okiem...

Łzy popłynęły z oczu Artiura, okropne łkania rwały mu piersi i choć milczał uparcie, w tém drganiu rozpaczliwém rozburzonych nerwów klątwa brzmiała.

W zatoce Biscaya złowróżbne zbiérają się chmury... Więc leć, ptaków gromado, szukać w pieczarach schronienia, my zostaniemy jako dwa duchy niepokory i pychy, a może piorun w którego z nas uderzy i z czaszki wylatujący mózg, pryskając na skałę, w cyfrę Guadity nazwę swą ułoży, bo ona już martwa a nikt na jéj grobie „*sit tibi terra levis*" nie pisze, nikt nie powiada, że zjawił się bogaty Sir Ralph, że ryże pokazał faworyty, szarą marynarkę, parodyą języka, szkło w oku, albiońskie zęby *and the gold of England* i zabrał ją sobie z San-Pablo, jak kwiat, który wyrasta dla grubéj ręki człowieka, jak żywy koral, który się okuwa w złoto dla wpięcia go w martwą koszulę u bardziéj martwéj piersi *John-Bulla*... I któż jéj zaśpiewa *Ave Marią*?... Czy ten alkad stary, ten Don-Parana, co śmiał się zwać śmierć anioła *świetném życiem* dziewczyny? Czy ja, ściągający bóstwo z nieba, by spryskać je śliną szepleniących ust moich? Czy mój ziomek, artysta Artiur? Tak! być może... ale wróćcie mu tylko stracone zmysły, uwolnijcie z Madrytu, gdzie *mente capti*, pokazują z zadowoleniem żółtą jego szlafmycę, mówiąc nie bez racyi:

To korona nad korony, ej! trzymajcie ją...

* * *

Guadita teraz w miękkości i zbytku, jedząc befsztyki i pijąc *gin*, siedzi na kolanach sir Ralpha w pałacu lorda w Bordeaux. Słucha szeptu fali na Loarze ale nie marzy o Turczynie... Po raz szesnasty przemienia się już księżyc na niebie pod pięknem okiem pseudo-lady, a jeszcze nigdy nie szepnęła modlitwy, nie zaśpiewała przy gitarze... Czyżby *how do you do* sir Ralpha starczyło za muzykę, lub jego ziéwające *yes* tak rozczulało jéj ducha? Kto pojmie kobiety?.

Artiur, choć błyszczał złotem w bogatym stroju Turczyna, ale piérwéj nim głos jéj go przywołał, zagrał śpiéw miłosny jéj znany, a była to melodya tak harmonijna, spokojna, tak niebiańska i czysta, jak jéj śpiew „Ave Maria". Ona go znała dobrze, może kiedyś, gdy jeszcze duch się jéj błąkał, szukając dla siebie kształtu, może kiedyś powiadam, ten duch sam był taką melodyą, więc—to rzecz stara, nie nowina! więc Artiur nie dał jéj cacka, nie pokazał lalki, był nudny, niedobry a ona... ona była kobiétą i musiała się bawić...

Artiur artysta; gdzież mu się zdobyć na praktyczność?...

I przyszedł syn Albionu, pokazał żółte zęby, łysnął chłodném marmurowém czołem, nieruszającém się okiem, wydobył z kieszeni pugilares, wygiął się w znak zapytania i gdy podeszła ku niemu, z flegmą tylko „*goddam*" się zaklął, a zlawszy je w jedno z przekankanionym wykrzykiem angielskiego zachwytu: oh! — poszedł daléj, nie rzuciwszy i słowa ludzkiego.

A ta szła za nim, jak lwica za uśmierzycielem, jak pies białoruski za pasterzem litewskiéj trzody, a serce się jéj rwało... Oddała mu wszystko: i młodość, i wdzięki, anielstwo i marzenia, i cichy śpiéw „Ave Maria" i namiętny pląs ulubionego tańca bollero... Zginęło wszystko i gdzie? — W angielskiéj flegmie...

That is the poëm, taka pieśń pragnień kobiéty!...

Ale sir Ralph nudzi się — Przesyciła Hiszpanka—On nie lubi leżącéj u swoich nóg Guadity, nie lubi!...

Pozwolił jéj wprawdzie nazywać się *lady*, ale czegóż ta mu za to nie dała?...

Wielkim był z jéj strony nierozsądek tak wielką cenę do niczego przywiązać, tak szczodrze za to się wypłacać. Poważny Lord monotonią się brzydzi, więc — przyszedł mu *humour* do głowy jedném cięciem miecza rozciąć gordyjski węzeł i...

Pomysł godny głowy Jowisza!

* * *

Czegóż się tłum tak zbiéra na wielkiém Loary wybrzeżu? Czegóż policya oblega pałac sir Ralpha?...

To piękną Guaditę obwiniono o kradzież.

Kogo? tę *lady*?—pytają przechodnie...

„Oui, cette maitresse" odpowiadają usłużni *gamins*. Sam lord był dziś u mera i zaskarżył Guaditę, że jego brylantowe piérścienie w nocy do swego przeniosła pokoju.

A więc to zbrodnia?... Przecież nieraz je brała do czyszczenia? Przecież miała prawo to czynić!... Nie! ona nie jest, nie mogła być, nie będzie złodziejką!...

Cicho! nie mówmy o tém: za silnym prawo jest i być musi.

Lecz sąd sprawiedliwy, co ten sąd orzecze?...

Oto... odpływają galery... Na jednym z tych statków Guadita.

Srogo przemawia do niéj zwierzchnik, łzy niéma w jéj oku, jest blada i smutna, pies liże jéj rękę, koszula pieści ciało, a wiatr z włosami się bawi...

Chwyciłem się za serce... boleść je rwała i z tłumionem łkaniem zacząłem gwizdać piosnkę jakąś.

Ona spojrzała na mnie, łza spadła z jéj powieki, i — nie widziałem jéj więcéj!...
A Artiur?... ten nie żył!... *Sawicz Zabłocki.*

W KATEDRZE.

(Z TRAGEDYI GOETHEGO: FAUST.)

Msza, organy, śpiéw.

(*Gretchen* w tłumie, *Zły duch* stoi za nią).

Zły duch. Gretchen!—tyś dawniéj inną
Spokojną i niewinną
Przed święty ołtarz szła.
Z książeczką swą dziecinną
Klękałaś tu z uśmiechem.
Myśl nie była w rozterce
I błogo biło serce....
A dziś skalanaś grzechem....
Gretchen! ty modlisz się,
Za duszę matki swojéj.
Toż ona hańby twojéj,
Nie mogła przeżyć, nie!
Spojrzyj! na progu domu
Krew brata jeszcze lśni,
Mściciela twego sromu.—
— I pod twém sercem drży
Ofiara. — Słyszysz ty!

Gretchen. Biada mi! biada!
Grom kary spada!
Myśli zbłąkane,
Serce spękane...
O biada mi!

Chór. Dies irae, dies illa
Solvet saeclum in favilla.
Zły duch. Czy słyszysz ty?
Trąby sądu brzmią,
Grobowce drżą,
I serce twoje drży!
Gretchen. Jak ztąd wyjść do furty kościelnéj?
Organów dźwięk i hymn pokutny,
Serce me palą, jak żar piekielny....
Boże!... tyś nie jest okrutny!

Chór. Judex ergo cum sedebit,
Quidquid latet adparebit,
Nil inultum remanebit.

Gretchen. Biédny jam ptak,
Już tchu mi brak;
Tych ścian kolumny
I to sklepienie
Jak wieko trumny
Duszą mnie tak....
Powietrza!..

Zły duch. Dla twojego sromu
Nawet w bożym domu
Niéma ulgi, nie.
Powietrze i blaski
To są nieba łaski.
Ja przeklinam cię!
Chór. Quid sum miser tunc dicturus,
Quem patronum rogaturus,
Cum vix justus sit securus?
Zły duch. I świętych pańskich,
I tych niebiańskich
Aniołów rój,
Wzrok swój odwraca.
Daremna praca
Ten pacierz twój. —
Biada ci! biada!..
Grom kary spada...
Chór. Quid sum miser tunc dicturus?
Gretchen (*woła mdlejąc:*) Sąsiadko! — daj mi swój flakonik!..
Miron.

Z KRONIKI NAUKOWÉJ.

Siła żywotna i hypoteza Omaliusa d'Halloy—Nazajutrz po śmierci—Projekt wyłączenia Niemców z paryzkiego stowarzyszenia biologicznego—Program kongresu antropologów w Bolonii—Odkrycie pomników z epoki kamiennéj w Egipcie i Palestynie—Poszukiwania Grandidier'a na Madagaskarze—Historya roślin Figuier'a—Mały fizyk—Piérwszy zeszyt Encyklopedyi Powszechnéj.

Na posiedzeniach Akademii brukselskiéj, toczyły się niedawno ciekawe rozprawy w kwestyi siły żywotnéj, domniemanéj przyczyny zjawisk cechujących jestestwa żywe. Między innymi zabierał głos Gluge, profesor fizyologii w téjże wszechnicy, i dziekan Omalius d'Halloy. Dla bliższego obznajmienia czytelnika z ich poglądami, podajemy je w streszczeniu.

Widzimy zjawiska jakiemi charakteryzują się organizmy żywe, powiada Gluge, lecz wytwarzającéj je siły żywotnéj nie znamy, i nikt dotąd nie zdołał udowodnić jéj istnienia drogą metody naukowéj. Obowiązkiem naszym studyować te organizmy z pomocą tych samych środków i metody co ciała bezwładne, nieorganiczne,—środkom tym zawdzięczamy postęp dzisiejszéj fizyologii. Taż sama siła zrodziła planetę i zwierzę. Magendie utrzymywał, że byłoby wypadkiem niezmiernie ważnym dla fizyologii okazanie, że kurczenie się mięśni jest zjawiskiem czysto fizyko-chemiczném, bez żadnéj interwencyi siły żywotnéj. Owóż nauka to ujawniła doświadczeniem; istnienie zaś siły żywotnéj nie opiéra się dotąd na żadnym fakcie pozytywnym. Co do stosunku zachodzącego między siłami a materyą, przyznaję, powiada Gluge, że nie mogę pojąć *istnienia siły oddzielonéj od materyi.* Słowa wielkiego filozofa, *że siła jest przyczyną, saméj sobie wystarczającą,* są i pozostaną dla mnie zagadką. Jest tylko jedna siła wystarczająca sobie saméj, ale ta będzie zawsze nieprzystępną wiedzy człowieka...

W płodach inteligencyi ludzkiéj Gluge upatruje dwie kategorye:

Do piérwszéj zalicza szereg pojęć, które mogą być poparte świadectwami naukowemi—do drugiéj zaś pojęcia odnoszące się do duchowéj cząstki organizacyi, które nazywa intuicyjnemi, gdyż nie mogą podpadać kontroli naukowéj, jak pojęcia kategoryi piérwszéj. Pojęcia te, powiada, przechodzą z pochodzenia w pokolenie, ulegają zmianom, odpowiednio do miejscowości i ras ludzkich wśród których się przyjęły. Zaprzeczać, z powodu braku dowodów pozytywnych, istnienie owego *ja* niezależnego, wiekuistego, jest to samo, według niego, co zwracać się do grubego materyalizmu dzikich pokoleń murzyńskich, o których mówi Samuel Baker w podróży swéj do źródeł Nilu.

Omalius d'Halloy, występując ze swą hypotezą, uprzedza że nie jest ani fizyologiem, ani filozofem,—gdyby był jednym lub drugim, potrafiłby wyjaśnić sobie wiele kwestyj dotąd dla niego zagadkowych.

Siły, powiada on, znamy tylko ze zjawisk jakie one wytwarzają, o ich zaś naturze nie mamy żadnego pojęcia. Co do mnie, podzieliłbym je na dwie grupy odmienne: w jednéj mieściłaby się ta z któréj powstają zjawiska fizyko-chemiczne,—w drugiéj zaś siła dająca życie organizmom żywym, którą nazywam postaremu *siłą żywotną.*

Nie badam, mówi, czy piérwszy dział mieści wiele sił, czy też jednę tylko, objawiającą się w rozmaity sposób, jaką to przyjmuje fizyka nowoczesna. Mniemam, że wszelka siła fizyko-chemiczna jest nieodłączną od materyi. Co innego przecież ma miejsce z siłą żywotną, ruch bowiem życiowy wytwarza się tylko wtedy, gdy jest udzielonym materyi przez jestestwo ożywione. Był czas że wierzono w hypotezę *samorodztwa* niektórych zwierząt, postęp wszakże naukowy okazał że zwierzęta te rodzą się zwykłą drogą. Zwolennicy samorodztwa cieszyli się, gdy chemicy odkryli sposób wytwarzania ze związków produktów życia, które nazwali wcale niewłaściwie materyą organiczną. Związki te bowiem nie pochodzą z sił organicznych, i mogą tylko przyjmować formy ożywione, za wpływem jedynie jestestw żywych. Powołujecie się, dowodząc nieodłączności siły od materyi w zjawiskach biologicznych, powiada Omalius, na zasadę teoretyczną, że *siła nie może istnieć bez materyi.* Zapewne że w ten sposób ona się przejawia, lecz nie idzie zatém, aby nie mogły istnieć siły, które zamiast być połączone z materyą, udzielają się jéj z woli jestestwa żywego które niemi jest obdarzone. Ude-

rząjąc bilę, mamyż prawo powiedzieć, że siła która ją w ruch wprawiła, mieściła się w bili, zanim ta otrzymała uderzenie?

Nierozdzielności siły żywotnéj z materyą nie dowodzą, według Omaliusa, kurczenia się mięśni pod wpływem elektryczności. Jeżeli to odnosi się do skutków elektryczności na martwym organiźmie zwierzęcia, to według niego, ruch mięśni okazuje tylko że one zachowały organizacyą pozwalającą wydawać skutki podobne zjawiskom, wywoływanym przez siłę żywotną. Gdyby siła w tym razie była nieoddzielną od materyi, to zjawiska, powiada Omalius, wydane przez elektryczność, nie znikłyby po dłuższych upływach czasu.

Mówca przyznaje, że elekryczności pobudza działanie nerwów, gdyż większa część zjawisk zachodzących w ciałach żywych, powstaje za wpływem sił fizyko-chemicznych. Zresztą materya wchodząca w skład organizmów żywych, zachowuje wspomnione siły, od niéj nieodłączne. Wszakże Omalius sądzi, że siła żywotna zarządza temi zjawiskami fizyko-chemicznemi. Odgrywa ona, powiada on, niby rolę przemysłowca, który łączy rozmaite ciała chemiczne, i z nich wytwarza związki tylko takie, jakie pragnie otrzymać.

Z podrażnienia niektórych części ciała martwego, które nie przeszły jeszcze w stan rozkładu, otrzymujemy rozmaite zjawiska. Rośnięcie włosów i paznokci, po śmierci w wielu razach się zdarza. Czyż, zapytuje Omalius, to ma dowodzić nieoddzielności siły żywotnéj od materyi? Bynajmniéj, okazuje tylko, że popęd nadany przez też siłę, może po ustaniu jéj działania, przez pewien czas wpływać na niektóre części ciała nieboszczyka. Jest to zatém zjawisko bili odbywającéj ruch, pomimo że ręka która go jéj, nadała cofniętą została. Mówca zwraca uwagę na jestestwa, które pocięte w kawałki, zachowują przecież życie, a nawet rozwijają się i stają doskonałemi istotami. Faktu tego wszakże nie uznaje za świadectwo nieoddzielności siły z materyą, gdyż jestestwa te otrzymały ruch życiowy od istoty przed niemi istniejącéj. Zjawisko to, według Omaliusa, okazuje tylko, że siła żywotna ożywiająca jestestwa, obdarzoną jest zdolnością dzielenia się na wiele cząstek, nic nie tracąc ze swych własności, gdy u innych istot, mogących wydawać sobie podobne tylko po przyjęciu kształtu ziarna lub jajka, odjęcie jednego z organów głównych życie przerywa.

W rezultacie Omalius nie widzi świadectwa udawadniającego nierozdzielność siły żywotnéj z materyą. Dlatego też stawia on następne kwestye do rozwiązania:

Dlaczego istoty życiem obdarzone uległe są prawu śmierci, kiedy przyjmując hypotezę nierozdzielności siły z materyą, powinnyby istnieć równie długo jak kryształ kwarcu?

Dla czego jestestwa żywe, złożone z jednych prawie i tychże samych pierwiastków, przyjmują formy najrozmaitsze, gdy tymczasem materya poddana wyłącznie siłom fizyko-chemicznym układa się w kształty wcale nie liczne?

Różnice te prowadzą Omaliusa do hypotezy, że istnieje tyle sił żywotnych oddzielnychile życie przejawia kształtów zdolnych do rozradzania się. Wszakże wszystkie te siły uważa on za jednę w ten sposób: że wszelkie funkcye jestestw byłyby tylko objawami jednéj siły. Podobnie jak fizycy tegocześni przyjmujący jednę siłę fizyko-chemiczną.

Szanowny dziekan mniema, że siła żywotna może ulegać modyfikacym, dzielić się na wiele innych w skutek warunków szczególnych, a nawet ginąć, gdy znikają ożywione przez nią jestestwa. Hypotezą tą tłumaczy on zmiany w szeregach paleontologicznych świata organicznego—wygaśnięcie gatunków zagubionych—i powstawanie ras nowych.

W siłach żywotnych upatruje Omalius dwa wielkie działy. Z tych jedne dają życie roślinom, drugie zwierzętom. Te ostatnie dzieli on jeszcze na dwie kategorye — piérwsza obejmuje siły żywotne zwierząt — druga siły ożywiające człowieka. Jakkolwiek, powiada, niepodobna odmawiać faunie inteligencyi i towarzyskości, to przecież człowiek posiada zdolności w téj mierze nienapotykane w żadnym gatunku zwierzęcym. Siła żywotna człowieka zasługuje, według niego, na nazwę odmienną, od zarządzającéj ekonomią zwierząt, i tę nazywa *duszą*. Duszy téj nie uznaje on zresztą w żadném inném jestestwie organiczném, chociaż nie odmawia wszelkim tworom pewnego zasobu inteligencyi, która im posługuje do wyboru pokarmów utrzymujących życie i t. p.

Chociaż niechętnie wprowadzam, powiada Omalius, pojęcia religijne do dyskusyj naukowych, to przecież muszę zaznaczyć, że porównanie duszy z siłami żywotnemi nie ma nic przeciwnego dogmatowi jéj nieśmiertelności. Owszem porównanie to zgadza się doskonale z genezą. Bóg, powiada ona, po roślinach i zwierzętach, stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo. Owoż Bóg, będąc istotą duchową, podobieństw tych nie odnosił do części materyalnych i rozkładowych człowieka, ale do duchowych, czyli do téj którą Omalius nazywa siłą żywotną. Ta zaś, aby być obrazem Stwórcy, musi, według niego, być wieczysta, a tém samém mieć przymiot brakujący siłom żywotnym fauny i flory.

Rozpatrzmy się nieco w poglądach tego teoretyka.

Przyznaje on że siły fizyko-chemiczne są nieodłączne od materyi, wszakże odróżnia od nich siłę żywotną, zarządzającą tamtemi w organiźmie żywym. Niemniéj przeto uważa je za przyczynę bezpośrednią zjawisk życiowych. Kwestye jakie rzuca, w rzeczy samej, nie są tyle kłopotliwemi jak mniema.

Jestestwa ożywione złożone są prawie z jednakowych elementów, dlatego zaś przedstawiają taką rozmaitość kształtów, gdyż na utworzenie téj rozmaitości wpływały niezliczone kombinacye pierwiastków. W chemii organicznéj stosunki zachodzą bardzo złożone — znajdujemy w niéj liczne szeregi związków ciał izomerycznych, których różnice pochodzą z odmiennego ugrupowania się pierwiastków, z natury i własności swych identycznych. Gdy materye organiczne łączą się aby wydać komórki, złożoność stosunków staje się niezmiernie wielką, a pomnaża się jeszcze nieskończenie więcéj, gdy komórki organiczne grupują się około siebie, aby wytworzyć jestestwo żywe.

Dlaczego istoty ożywione podległe są śmierci, gdy kryształ kwarcu żyje wiecznie? zapytuje Omalius.

Różnica między istotą organiczną a kwarcem i każdém ciałem nieożywioném, nie jest tak wielką, odpowiemy, jakby z pozoru wnosić wypadało. Kryształ kwarcowy ginie, gdy giną warunki fizyko-chemiczne, potrzebne do jego istnienia. Jeżeli to dziś zdarza się rzadko z kwarcem, przytrafia się natomiast bardzo często z wielu innemi minerałami. Owoż zwierzę równie umiéra gdy traci swe warunki życiowe w skutek wypadku, odpowiadającego manipulacyi chemika z ciałem mineralném.

Wprawdzie warunki te znikają téż drogą naturalną, po upływie pewnego czasu, którego maksimum przedstawia czas trwania życia każdego jestestwa. Aleź i w chemii znane są ciała rozkładające się dobrowolnie, czyli takie które tracą drogą naturalną swe warunki istnienia, pod wpływem otaczającego je żywiołu. Ciała tak rozkładające się należą do najwięcéj złożonych, a jestestwa żywe nie sąż ze wszystkich najbardziéj złożonemi?

Z tych kilku uwag, widzimy że hypoteza Omaliusa opartą jest więcéj na złudzeniach, że niéma w niéj poważnych podstaw naukowych.

Siła żywotna, którą wprowadza, dziwnie się modyfikuje, dzieli, przeistacza. Elastyczność jéj, co prawda, pozwala mu tłumaczyć ideę Darwina o przekształceniach gatunków, i wszelkie zjawiska biologiczne. Co do nas, nie pojmujemy siły żywotnéj, dzielącéj się na cząstki pomimo jéj duchowości, siły odmiennéj w człowieku od istniejącéj w całym świecie zwierzęcym. (*D. c. n.*)

O TEMPERAMENTACH DZIECI.

Odczyty publiczne, miane w Krakowie

PRZEZ

Lucyana Falkiewicza.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ III.

1. ZAKRES UCZUCIA.

Piérwszy pochód swego rozwoju, rozpoczyna dusza ludzka poglądem na około siebie, mianowicie przyjmowaniem wrażeń własnego organizmu, — niemniéj świata zewnętrznego, ażeby się do odpowiedniego oddziaływania przeciwko tym wpływom przygotować.

Uczucie w znaczeniu ogólném, jest to pochopność do wrażeń, za pomocą których kształtuje się we wnętrzu człowieka osobny świat, bez wyraźnego rozróżnienia go od tworów zewnętrznych i jego zjawisk. Jestto piérwsze zapoznanie się duszy z własną swą istotą, czyli jaźnią.

W dalszym postępie staje się to jéj wnętrze coraz rozleglejsze, widniejsze, i potężniejsze.

Stanąwszy więc już we własnym przebytku, zdolną jest dusza zatopić się sama w swéj głębi i wznieść się w tém odosobnieniu do pojęć nieograniczonych, od cielesności oderwanych, czyli nadzmysłowych.

Troskliwe wychowanie winno tylko czuwać, ażeby w takiém przejściu duszy wychowanka z świata rzeczywistego w świat ducho-

wy, życie zmysłowe ani zostało nadwerężone, ani rozum w swym rozwoju nie był tamowany.

Uczucie jestto najczystsza perła, spoczywająca w łonie duszy ludzkiéj, najdroższy klejnot, najpiękniejsza ozdoba człowieka, jeżeli téj świętoci wyziew zmysłowéj namiętności swym brudnym oddechem nie skala.

Tu rozum powinien być niezmiernie czujnym stróżem, ażeby ta boska iskra uczucia, roztlona w miłość ku wszystkiemu co wzniosłe, szlachetne i prawdziwe, nie roznieciła się w namiętność i nie ogarnęła swym pożarem tego wszystkiego, co na podstawie religii i na podwalinach praw boskich i ludzkich troskliwe wychowanie budować rozpoczęło.

Ten ogień westalski, winien być w wychowankach utrzymywany—nie powiem z przezorną troskliwością — lecz z najgorętszą miłością; — a jeżeli mam użyć porównania, tobym ten boski dar uczucia nazwał dyamentem, który również tylko dyamentem szlifowanym być może.

A jednak, jeżeli gwałtowność uczucia w samolubnéj swéj pożądliwości nad wyższemi siłami duszy zapanuje i w niepohamowanym zapędzie do rozpasanéj posunie się gwałtowności, natenczas zdoła wszystkie inne czynności duchowe w ich kierunku powstrzymać i najświętsze prawa duszy pogwałcić. Najniebezpieczniéj występuje ta rozhukana — silniejszą wolą i rozsądkiem niepowstrzymana, fala namiętności w wieku młodzieńczym.

Zniedołężniały rozum i bezsilna wola walki już wytrzymać nie zdołają z podobną burzą, — bowiem na poskromienie takiego orkanu wyższéj potrzeba potęgi, a nią jest religia, — głęboko za młodych lat w sercu dziecka i wyrostka zaszczepiona, która jedynie stojącego nad przepaścią zapamiętalca uratować może.

O jakże wielkiém i zbawienném okaże się tu właśnie wynikłe wychowanie, które przeciwko téj sile upadającéj istoty ludzkiéj potrafi w porę znaléźć środki zaradcze, zdolne przytłumić jad, który grozi zatruciem wszystkiego, co żyć miało duchowo, zdrowo, rozumnie i wspaniale.

Najbardziéj uderzające wady u dzieci w zakresie uczucia są: *a*) Zbytnia drażliwość, *b*) nienawiść, *c*) zazdrość, *d*) bojaźliwość. Cnotą tego zakresu jest wdzięczność.

a) Zbytnia drażliwość.

Drażliwością nazywamy owo chorobliwe rozstrojenie uczucia, które najmniejszą drobnostką bywa dotknięte i zranione. O drażliwym człowieku samo przysłowie powiada że z nim jak z jajem obchodzić się potrzeba.

Ludzie tego nieszczęśliwego usposobienia wymagają, ażeby wszyscy tylko na nich zwracali uwagę, nimi się zajmowali, ich wyszczególniali i do nich się stosowali, jeżeli nie chcą ściągnąć na siebie ich nieukontentowania, żalu albo gniewu. Skoro raz w zły humor popadną, trudno z nimi przyjść do ładu, albo ich sprowadzić na drogę umiarkowania. Najtrudniéj też przychodzi im wydobyć z siebie tyle woli i siły, ażeby się do błędu przyznać i utracony humor odzyskać mogli. Podobne rozgorączkowane natury żadną miarą nie mogą przyjść do tego prostego przekonania że głowa powinna kierować wszystkiemi władzami serca i nad namiętnościami panować bezwarunkowo. Przeciwko takiemu drażliwemu usposobieniu podał jeden z psychologów najtrafniejszą radę — środek najpraktyczniejszy i najprostszy, oto: niezaczynać się gniewać.

Zwyczajną przyczyną podobnéj drażliwości u dzieci — oprócz samego temperamentu melancholijnego — bywa przesadna troskliwość rodziców o ich zdrowie, nadto zbyteczne rozpieszczenie i owa tak wielce rozpowszechniona słabość życiodawców, upatrywanie w swych dzieciach przymiotów w najświetniejszych barwach. Ztąd wynika zgubne pobłażanie rozlicznych wad, — a to wszystko na rachunek jakichś urojonych zalet i zdolności, któremi dzieci w oczach rodziców jakby gloryą otoczonemi być się zdają.

Takie dzieci stają się nietylko słabemi na ciele i duszy, lecz do tego niezgrabnemi, przytém napuszonemi, pełnemi pretensyi, a w końcu jako nieznośne, wystawione są na pośmiewisko swych rówienników, którzy ich unikają i wyszydzają.

Skutkiem podobnéj obelgi wyradza się u takich znienawidzonych, a z towarzystwa wytrącanych dzieci, pragnienie odwetu przeciwko współkolegom, jako swym prześladowcom; a jeżeli ten się nie uda, natenczas osiada w sercu zranioném złośliwa nienawiść, którą tém trudniéj przychodzi wychowawcy usunąć, bo jest częstokroć przed jego okiem ukryta.

Takiém więc rozpieszczonem wychowaniem unieszczęśliwiają słabi rodzice swoje dzieci, a w dodatku i siebie samych.

Lekarstwo na takie cukrowe lalki, z których przy zaniedbaniu moralném wyradzają się mruki i zrzędy, będzie łatwe, skoro się z niemi zaczniemy obchodzić surowiéj i chłodniéj, niż jak to bywało pod miękkim i ciepłym puchem rodzicielskich skrzydeł. Obojętność i lekceważenie ich pretensyj, a czasem zawstydzenie ich przy sposobności, odniosą pożądany skutek.

Podobne bowiem błędy należą do rzędu najmniéj zatrważających, którym dzieci podlegają. Ażeby zaś umysł dziecka odwrócić od zajmowania się tylko swą istotą, należy zatrudnić je fizycznie i umysłowo. Piérwsze da się łatwo osiągnąć przez gimnastykę, drugie przez zajęcie naukowe. W miarę poprawy wychowańca, potrzeba nadto wpływać na wesoły humor jego, czego już łatwo dopiąć dobremi przykładami, a przy podnoszących się siłach fizycznych dziecka, podniosą się niewątpliwie i jego funkcye umysłowe.

b) Nienawiść.

Jest to ciche, ale głębokie zniechęcenie do ludzi. Powstaje ono powoli samo z siebie, — częstokroć z najniepozorniejszéj pobudki, zazwyczaj z obrazy lub szyderstwa od drugich doznanych.

Myliłby się, ktoby sądził, że dziecinne uczucie niezdolne jest do żywienia w swém sercu tak jadowitéj trucizny. Dzieci potrafią tak samo nienawidzić jak dorośli, z tą tylko różnicą, że nie tak zawzięcie i długo, i że ta wada u piérwszych nie przechodzi w zapalczywą mściwość.

Do wykorzenienia tego błędu powinno się przystępować z największą oględnością, bowiem to złe, jeżeli zostanie zaniedbane, grozi na przyszłość największém niebezpieczeństwem. Podobnie jak jadowite zielsko, winno być z najmniejszemi włóknami korzenia wyrwane ażeby się daléj nie krzewiło. Do przytłumienia téj wady najskuteczniejszym będzie środkiem przekonywanie oparte na poważnych przykładach: że ludzie z natury są dobrymi, i że obraza nie rozmyślnie została im wyrządzoną, lub że takowa nie w tym zamiarze była wymierzoną, jaki według ich mniemania się wydaje. W podobnych wypadkach należy koniecznie do tego dążyć, ażeby strony urazę do siebie mające zbliżyć i pojednać. Nadto wypadnie usilnie wpływać, ażeby osoby powaśnione, jeżeli nie w przyjaźni, to przynajmniéj w szczeréj i nieudanéj zgodzie żyć mogły ze sobą. Religia, i z niéj brane wzory o boskiém a litościwém przebaczeniu Zbawiciela, są w takim razie najzbawienniejszym czynnikiem, który zdoła najzaciętszy nawet upór tego rodzaju złamać i do naszego przekonania zniewolić.

c) Zazdrość.

Tę wadę należy uważać za najzgubniejszą w zakresie uczucia, która jedynie przy nieustannéj troskliwości około swych wychowańców i to z wielką trudnością wykorzenić się pozwala. Zdradza ona się już na twarzy zazdrośnika, to téż do leczenia téj choroby duszy, przystąpić można z wszelką pewnością. Czém jest to uczucie, wiadomo każdemu, bowiem rozpowszechnioném ono jest we wszystkich stopniach wieku i we wszystkich warstwach społeczeństwa ludzkiego.

Zazdrość jest to pewien rodzaj niezadowolenia, pochodzącego ze szczęścia lub innych zalet naszego bliźniego, — a podnosi się do złośliwéj szkodochciwości psującéj charakter ludzki do głębi serca częstokroć bez nadziei poprawy. Zakorzenia się w dzieciach zazwyczaj tym sposobem, kiedy przy ukaraniu jednego dziecka inne chwalimy i te przy zbolałém jeszcze uczuciu ukaranego za wzór do naśladowania wskazujemy. Nadto, jeżeli między braćmi, lub szkolną dziatwą, niezasłużenie wyróżnia się jedno przed drugiém, zwłaszcza tam gdzie wypadałoby być sprawiedliwym. Daléj, jeżeli się zasługa dzieci mniéj obdarzonych darami fortuny, w obec dzieci bogatszych rodziców upośledza, albo, co gorsza, z nich natrząsa. Nakoniec jeżeli przypadkowe dary i zewnętrzne przymioty drugich, przed dziećmi nad zasługę podnosimy.

Wykorzenienie téj wady, jak już nadmieniliśmy, jest nader trudne. Leży ona bowiem zbyt głęboko ukryta w sercu, a do tego bywa podsycana ze wszech stron różnemi żywiołami co chwila.

Jeżeli się wszakże upatrzy dogodna sposobność, ażeby dziecku tego usposobienia dać uczuć litość nad cierpiącymi, lub wzniecić współudział w niewinném szczęściu drugich, — nadto, kiedy wadę zazdrości wystawi się w żywych kolorach jéj niedorzeczności i pogardliwości, a to wszystko w słowach zwięzłych i dobitnych, a nie sposobem rozwlekłéj i nudnéj rozprawy, albo, co gorsza, kłótliwo-złośliwéj przygody, a najskuteczniéj w żywych przykładach,—głównie zaś jeżeli się o dobre towarzystwo dla takich dzieci postaramy, niezostawiając takowym czasu do trapienia się podobném chorobliwém uczuciem i zaprzątnienia myśli cudzém szczęśliwém powodzeniem, — to się w końcu uda odwrócić to groźne niebezpieczeństwo

od duszy wychowańca, i wlać w niego przekonanie, że zadowolenie z własnego położenia nabywa się pracą i nauką, co stanowi najwyższe szczęście w życiu człowieka.

Przed takim argumentem, wspiéranym od czasu do czasu przykładami z życia, — zmora zazdrości ustąpi z myśli dziecka, a pomyślność bliźniego nie będzie dla niego trucizną, raczéj owym słodkim napojem, którego czara, według słów naszego wieszcza, natenczas nam miła, gdy ją z drugimi dzielimy. (*D. c. n.*)

LA TRITA.

Wioska rzymska nie jest wcale pustynią nieuprawianą, jak to się zdaje wielu; większa część przeciwnie obszernych zagonów wiejskich bywa oraną i wydaje ziarno. Lecz brak tu rąk; często z bardzo daleka przybywają do każdéj wioski robotnicy dla zbioru i wymłotu chleba. Czerwiec jest tam miesiącem żniwa, lipiec zaś, winobrania. Żniwiarze więc przychodzą na dany punkt z okolic Neapolu, a najczęściéj z Abruzzów. Wywędrowują oni z rodzinnego kraju wraz ze swemi rodzinami, niosąc ze sobą namioty, które rozpinają przy każdym noclegu; poczciwi ci ludziska zdają się być w podobnych wędrówkach koczowniczymi Beduinami, lub bandą Cyganów. Wynajmują swe dłonie za bardzo szczupłe wynagrodzenie, dwadzieścia bajoków dziennie, z których umieją jeszcze robić zasoby na przyszłość.

Po ukończoném żniwie, zaczyna się omłot ziarna, nazywany tam „La Trita". W tym celu przygotowują żytnicę na któréj rozścielają zboże, następnie zaprzęgają razem po sześć koni, i zmuszają je deptać po ułożonéj tak warstwie kłosów, pokąd wszystko ziarno nie zostanie z nich dobyte. Wtedy słomę gromadzą za pomocą grabi w sterty, ziarno zaś zbiérają w kupy, wierzchy których ozdabiają krzyżami.

Ciekawy ten proces pracy wiejskiéj dał właśnie pochop panu Poingdestre do utworu, którego reprodukcyą dajemy na stron. 353 czytelnikom. Obraz ten był przedmiotem ubiegania się amatorów, zanim się w końcu stał ozdobą gabinetu pewnego księcia rossyjskiego.

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULII KAVANAGH.

Tom I.

(*Ciąg dalszy*).

— No, mościa hrabino, odprowadzasz mnie umyślnie od mojego tematu—wesoło rzekła miss Cains; czy byłam na brzegu, czy nad nim jak ptak, czy pod nim jak ryba.

— O, teraz już wiem gdzieś była—przerwała Sybilla;—pod Sosnami. Tam wiatr zachodni nanosi często porosty, a ten nawet jest suchy, już od kilku dni tułać się musiał. Ale dlaczego chciałaś mnie mistyfikować, Blanko?

— Sama się mistyfikujesz, moje niewiniątko. Ale powiédz czy nie śniło ci się o nim?

Sybilla zarumieniła się, gdyż ojciec jéj teraz pokazał się u dołu schodów i z uśmiéchem na ustach przywitał ją tak samo, jak Blanka.

— Jakże się ma mała hrabina?

— Mam się dobrze, a czy będę hrabiną o tém nie wiem, odpowiedziała poważnie.

Ojciec roześmiał się i równie poważnie odpowiedział:

— Ani ja nie wiem czy ci nią być pozwolę.

Prawdę powiedziawszy, Kennedy wcale nie był gotów oddać córkę za gołego hrabiego, z upodobania do samego tytułu. Ale Kennedy lubił to, co świat lubi, a że świat cenił hrabiowskie korony, więc i Kennedy zaczął trochę gustować w spokrewnieniu się z szlachcicem starego rodu i nieskazitelnego charakteru. Miał on inne widoki dla córki, ale pokrzyżowały się, rad był więc utrzymać tymczasem i tę szansę, z pewném przeto zadowoleniem przywitał Sybillę „hrabiną."

— Ciotka tam czeka cię w jadalni, bardzo zdziwiona tém żeś spała tak długo.

Miss Glyn w istocie niecierpliwiła się woczekiwaniu rozmowy z siostrzenicą, i bardzo rada była z jéj przybycia.

— Moje dziecko, rzekła, tak długo spałaś, a hrabia pewno przyjdzie lada moment dowiedzieć się jakeśmy noc przepędziły.

— Byle nie dzisiaj, ciotko,—zawołała Sybilla.—Jeżeli przyjdzie, ja się nie pokażę.

— Nie pokażesz się!

— Jakto, ciotko, czyż mam uważać jego wizytę jako mnie złożoną?

— Tak—nie—masz słuszność, Sybillo, cieszę się, widząc cię tak ostrożną. Niéma się co śpieszyć. Muszę się wprzód przekonać, o ile ten młody człowiek umie obracać kapitałem—rozumie się pod moją dyrekcyą.—Wiész o moim sposobie myślenia, Sybillo, wiész że nigdy nie jestem za małżeństwem dla pieniędzy, ale też nie chciałabym iżbyś zawarła nierozsądny związek. A człowiek który nie umié obracać kapitałem— który mu nie podoła...

Tu przemowę miss Glyn przerwało nagłe wejście Deniry i wykrzyk jéj pełen rozpaczy:

— Proszę pani, krowa przewróciła skopek i nie zostało ani kropli mléka.

— Ani kropli? rzekła miss Glyn, i jako gorliwa gospodyni zerwała się, aby sprawdzić fakt na miejscu wypadku. Wkrótce po jéj odejściu otworzyły się drzwi i wszedł stryj Edward. Sybilla powitała go wesoło.

— Dzień dobry, stryju. Intryga zniweczona, a Blanka była królową balu.

— Jakże się to podobało pannie Cains?—sucho zapytał stryj Edward, siadając w krześle które panna Glyn opuściła.

— Rozumie się że podobało, któražby panna tego nie lubiła?

— No tak, moja dobra, szczéra panienko. To wasza chwała, zaszczyt i nie wiem co tam jeszcze. Ale pomyślałem że mi co więcéj masz do powiedzenia, Sybillo.

Mówił tak poważnie, spojrzał na nią tak bystro, że krew uderzyła do twarzy Sybilli i oblała ją szkarłatem. Zkąd mógł wiedzieć tak prędko?

— Kto powiedział stryjowi? zapytała popędliwie;—i stryj masz morski porost na odzieży. Więc to Blanka?

Stryj spojrzał na nią z pewném zdziwieniem. Oczy jéj zabłysły; tak była zmieszana że drżała.

— Dziwna z ciebie dziewczyna—odpowiedział poważnie.—Spotkałem pannę Cains dziś rano pod Sosnami, ale możesz łatwo przypuścić że nie o tém rozmawialiśmy. A cóż ma porost morski wspólnego z mojém pytaniem?

Sybilla milczała.

— Więc to prawda?—mówił daléj.—A jednak obiecałaś mi nic przyjmować zobowiązania bez mojéj wiedzy.

— Nie zobowiązałam się do niczego, stryju.

— Moja droga, jeżeli panna zezwala takiemu mężczyźnie jak hrabia de Renneville poszukiwać jéj towarzystwa, gdy jawnym jego celem jest małżeństwo, daje mu, a raczéj swemu przyszłemu losowi, rękojmię, którą rzadko kiedy zrywa.

Sybilli spojrzenie wyrażało przestrach.

— Nie sądzę, — rzekła żwawo — nie spodziéwam się tego.—A widząc jego wzrok poważny, milczący, dodała z wahaniem:—Czy go znasz, stryju?

— Tak, miałem z nim interesa, po śmierci jego ojca.

Sybilla czekała dalszych objaśnień; nie mogąc się ich doczekać, zebrała się na odwagę i zapytała:

— Drogi stryju, czy co złego wiész o nim?

— Nie, moja kochana. Miałem z nim interes, jak powiadam, i znalazłem go dobrze wychowanym, zimnym i rozważnym. Nie potrzebuję ci powiadać że jest ładny, że ma wytworne obejście—więcéj nic nie wiem.

— A jednak zdajesz się go potępiać.

— Tak, bo nie mogę zrozumiéć dlaczego chcą cię tak nagle wydać za mąż, za hrabiego. Małoż na świecie ludzi nie gorszych od niego?

— Może mnie nie będą chcieli, stryju.

— Daj im czas, a będą chcieli. Pewny jestem że byłaś najpiękniejszą panną na balu.

— Nie, stryju, Blanka była najpiękniejszą.

— O, ona jest piękna.

Nastała pauza, po któréj znowu stryj się odezwał.

— Tak więc wybiérasz hrabiego, Sybillo?

— Drogi stryju, w istocie, sama nic nie wiem jeszcze.

Stryj Edward potrząsł niecierpliwie swojemi gęstemi włosami, i naśladując jéj ton, odpowiedział:

— Droga siostrzenico, będziesz wiedziała wkrótce, lub też hrabia będzie wiedział za ciebie. Dlaczego wszyscy jesteście nim tak oczarowani, pojąć nie mogę. Jest przystojny i inni są tacy—dobrze wychowany, tak jak i inni—a głębiéj i daléj, rozumié się, nie spoglądasz.

Mówił z taką ironią, że Sybilla czuła się obrażoną. Widoczném było uprzedzenie stryja przeciw jéj kunkurentowi, choć nie mógł tego uprzedzenia niczém usprawiedliwić. Odwróciła się też od niego i poszła wyglądać przez okno. Słońce poranne oświécało krajobraz. W dali ciemna linia drzew odbijała od błękitu nieba, a z pośród nich stérczały wieżyczki i dach starego zamku. Tam niegdyś mieszkał ów Raymond zuchwały, który z panującymi wiódł wojnę, który potęgą i bogactwem wielu książąt przechodził. Nie myślał wtedy że przyjdzie czas w którym jego potomek cudzoziemską dziewczynę będzie chciał poślubić dla pieniędzy. „Bo gdyby nie był ubogi, nie myślałby o mnie,” mówiła Sybilla sama do siebie. Sądzę że jego tytuł i moje bogactwo równo mogą zaważyć na szali—a zresztą wiadomo powszechnie iż nie chciał żenić się ze swoją kuzynką, bogatszą odemnie. Ta myśl była bardzo pochlebna dla próżności Sybilli, popiérała wrażenie jakie odebrała na wieczorze, że hrabia de Renneville obrał ją dla niéj saméj. Przecie było dość bogatych panien w Saint-Vincent.

Obudzona ze swoich marzeń wejściem ciotki, spojrzała z ukosa na stryja. Brwi miał ściągnięte, twarz była tak surowa i niezkontentowana, że Sybilla prędko odwróciła oczy. I podczas śniadania, do którego zebrano się wkrótce, nie zmienił wcale humoru. Nie patrzył na Sybillę i nie mówił do niéj wcale. Rozmawiał tylko z jéj ojcem o podróży, którą przedsiębrał, nie starając się wciągnąć jéj w konwersacyą, a gdy mówiła, sam milczał.

— Cóż zaszło między twoim stryjem a tobą—obcesowo zapytała Blanka, gdy wieczorem same siedziały w salonie.

— Zdaje mi się że on gniewa się z powodu hrabiego de Renneville.

— Cóż go to obchodzi?

— Powiada żem zamłoda. Zresztą zdaje mi się że go obraziłam dziś rano, a może i ty téż, kiedyś go spotkała pod Sosnami.

Przez chwilę miss Cains stała wahająca, jakby niewiedząc w jaki sposób przyjąć uwagę Sybilli. Spoglądała na nią z podziwieniem, w końcu rzekła:—Małośmy mówili—nie mogłam go obrazić.

— Blanko, ty gardzisz nim—a ja lękam się że on to widzi. O, Blanko, Blanko,—dodała, obejmując ją—a ja spodziéwałam się że wy się kochać będziecie.

— Nawet lubić się nie możemy.

— Bo jesteś zbyt pogardliwą. Każdy widzi że on cię uwielbia, tylko...

— Czy ci to powiedział?—zimno zapytała miss Cains.

— Nie, ale mam oczy, widziałam jak patrzył na ciebie gdyś przyjechała—a ty—

Miss Cains roześmiała się.

W téj chwili wszedł Kennedy, a Sybilla przypomniała sobie że nie widziała stryja od czasu obiadu.

— Ojcze—rzekła, mogęż się spytać gdzie stryj?

— Odjechał, moja droga.

— Na długo?

— Na kilka dni.

Sybilla opomniała się od razu. Dlaczego stryj odjechał bez pożegnania się z nią? — dlaczego wyjechał tak nagle? Spojrzała na ciotkę, na Blankę, w końcu na ojca; ale nikt niezdawał się zajmować tym przedmiotem. Brat pana Kennedego pojechał — o czém że tu więcéj myśleć?

Młodość jest szczéra. Uczucia w owym wieku mogą nie być głębokie, ale są gorące. Sybilla, powróciwszy wieczorem do swego pokoju, uczuła wielki smutek, z odjazdu przyjaciela, który ją opuścił może z powodu oczekiwanego konkurenta.

Dlaczego hrabia nie podobał się jéj stryjowi? Ale może też odjazd ten nic nie ma z hrabią wspólnego. Może jaki list nagle go powołał. „Deniza mnie objaśni“ pomyślała Sybilla i poszła do pokoju służącéj. Zastała ją w głębokim śnie pogrążoną, przy świecy któréj knot przepalony już się mocno na jednę stronę opuścił. Rozbudziwszy Denizę, zapytała młoda pani dość ostro, czy chce ogień w domu zapuścić.

— Niech Pan Bóg chroni! zawołała służąca — zgorzenie papiérów rodzinnych spowodowało piérwszy upadek Rennevillów — karty zrujnowały ich do reszty.

Sybilla zapomniała o zamierzononém łajaniu. Spoglądała na okrągłą twarz dziewczyny i jéj mętne niebieskie oczy, wahając się, czy ma prowadzić dalej rozmowę w materyi, w któréj Deniza zawsze była bardzo wymowną. Służyła ona kiedyś u rodziny Rennevillów, a chociaż było to już dość dawno, zachowała zawsze dla nich cześć w głębi serca.

— Więc to szulerstwo jego ojca—rzekła Sybilla — pozbawiło go majątku i sprawia, że wygląda tak smutnie?

— O, miał on dość innych zmartwień—odpowiedziała Deniza jego uboga kuzynka, wie pani, co to wyszła za innego...

— Myślałam, że była bogata—rzekła Sybilla, rumieniąc się.

— Nie, tamta bogata była brzydką — a piękna była ubogą. Udawał zawsze że nie dba o nią, ale zemdlał gdy dowiedział się że wyszła za mąż.

— Za kogo?—gdzież ona jest teraz, Denizo?

— O, ona umarła, a jéj mąż ożenił się po raz drugi i ma dużo dzieci.

— To on pewno jeszcze jéj żałuje? powiedziała Sybilla, usiłując mówić z współczuciem, chociaż bardzo niemiło ją dotknęła myśl, że miała poprzedniczkę.

— Czegóżby miał żałować—odpowiedziała naiwnie Deniza,—kiedy jéj własny małżonek łatwo się pocieszył. Zresztą zawsze widział to dobrze, że nie może się z nią żenić.

O jak gorzką i twardą naukę temu człowiekowi dało ubóstwo i pycha! Sybilla stała pogrążona w myślach, gdy rozbudziły ją pewne znane kroki.

— Kto to idzie? zapytała.

— Sądzę że to pan Edward schodzi—odpowiedziała spokojnie Deniza.

Panem Edwardem zwykle nazywano w Saint-Vincent brata pana Kennedego.

— Nie odjechał? wykrzyknęła Sybilla.

Deniza nie mogła dać żadnych objaśnień, oprócz że widziała pana Edwarda jeszcze przed godziną.

— Idzie do biblioteki, a ja mam klucz—rzekła żwawo Sybilla. Dobranoc, Denizo.

Deniza chciała zanieść klucz, ale nim zdołała wyrzec słowo, Sybilla już była na schodach. Znalazła stryja u drzwi biblioteki ze świecą w ręku. Sybilla w milczeniu wyjęła klucz z kieszeni i pokazała mu go. Z uśmiechem wyciągnął rękę, ale Sybilla schowała klucz za siebie i wstrząsnęła głową.

— Nie, stryju, rzekła, musisz to opłacić. Myślałam żeś odjechał.

— Zapomniałem niektórych papierów i wróciłem po nie.

— Myślałam żeś zapomniał pożegnać się ze mną, i dlatego powróciłeś?

— Sybillo, daj klucz, proszę cię. Muszę jutro o piątéj rano odjechać.

— Biblioteka moja,—upornie odpowiedziała Sybilla, ojciec mi ją zdał, a dać klucz lub nie dać, to już od mojéj woli zależy.

— Mogę bez niego się obejść—rzekł, zwracając się napowrót, trzeba mi tylko usiąść i kilka listów wypisać na nowo.

— Oto klucz,—rzekła cichym głosem, ale chociaż twarz miała odwróconą, w głosie jéj znać było łzy. Stryj wziął klucz z jéj wyciągniętéj ręki i otworzył drzwi biblioteki; nagle, przerywając tę czynność rzekł:

— Potrzeba mi cię, Sybillo. Musisz mi wyszukać słownik Johnsona, jeżeliś tak łaskawa. *(D. c. n.)*

CZAPLA.

Któż nie zna ptaka o smutnéj postaci, którego nieraz nad stawami i rzekami spostrzedz można, jak ze zgiętą długą szyją, stojąc w wodzie, na zdobycz czatuje? Powszechne mniemanie uważa czaplę za szkodliwego wroga ryb, lecz ściślejsze badania dowiodły że nie ryby, ale żaby, węże i szczury wodne stanowią jéj zdobycz. W lasach, gdzie się czaple gnieżdżą, u stóp drzew na których ich gniazda są zawieszone, znajdują się spilśnione kłębki złożone z niestrawionych włosów i kości, które czaple wyrzuciły; otóż w tych kłębkach nie znaleziono nigdy ości rybich, coby niewątpliwie musiało miéć miejsce, gdyby czapla rybami przeważnie się żywiła. Z tego powodu zasługuje raczéj na ochronę niż na tępienie, do czego ludzie zbyt często nadto są pohopni, nie pomnąc, że zwierzęta, ptaki i gady, jako szkodliwe uważane, więcéj przecie pożytku niż szkody przynoszą, że wspomnimy tutaj okrzyczanego lisa, ów postrach kurników, chociaż główne jego pożywienie stanowią myszy polne, przez co zbytecznemu ich mnożeniu się ze szkodą

rolniczych plonów, skuteczną tamę kładzie; albo też pracowitego drenarza, tępiciela liszek, glizd, pędraków, pożytecznego kreta, który prawdziwą jest ochroną pól i ogrodów naszych; nawet wróbel, pomimo niezaprzeczonego swego apetytu do ziarn pszenicy, jęczmienia i konopi, znajduje gorliwych obrońców ze względu na masy owadów które pożera. Podobnież należałoby zdjąć niesłuszne oskarżenie z czapli i ochraniać tego pożytecznego ptaka, zwłaszcza że wszechwładna bogini Moda nie nakłada już dzisiaj na hołdowników swoich obowiązku strojenia się w piórka, które czapla na głowie nosi. W średnich wiekach stanowiły one kosztowną a nieodzowną ozdobę nietylko kobiecego ubrania głowy, lecz i męzkich czapek. Ztąd polowanie z sokołem na czaple było ulubioną rozrywką pięknych pań i rycerskiéj młodzieży. Polowanie to rzeczywiście przedstawiało zajmujący widok. Grono myśliwskie z sokołami przybranemi w ozdobne kapturki, trzymanemi na grubéj rękawicy, chroniącéj pięść od ostrza szponów, bacznie przeglądało brzegowiska rzek i jezior, a skoro ujrzano czaplę rozwijającą długie swe skrzydła i cichym, bez żadnego szelestu lotem wznoszącą się w powietrze, aby w ucieczce szukać ocalenia, zdejmowano kapturki sokołom, które natychmiast w hyżym pościgu wzbijały się w górę, usiłując wynieść się nad uciekającego ptaka, aby potém z szybkością piorunu spaść na niego. Lecz to zadanie nie było tak łatwém i wolném od niebezpieczeństwa dla sokoła, jak się zdawać może. Czapla bowiem, zginając na grzbiecie długą swą szyję, ostry dziób trzyma skierowany w górę, na którym bardzo często młody i niedoświadczony sokół, spadając w gwałtownym pędzie z góry, jak na bagnecie się przebijał. Zajmujący dla myśliwych był widok, jak oba ptaki zataczały w powietrzu koła, walcząc z sobą o lepszą co do zręczności i szybkiego lotu. Lecz zwycięztwo wątpliwém być nie mogło; czapla rażona stalowemi szponami sokoła, ogłuszona razami potężnych jego skrzydeł, spadała zakrwawiona na ziemię, a konni myśliwi śpiesznie przybywali, aby skrócić jéj mękę i zdobyć ozdobne jéj piórka, cel i chlubę polowania, gdyż mięso czapli prawie nie jest jadalne.



CZAPLA. (Patrz str. 359).

NOWINY.

— Prasa peryodyczna francuzka, obok dzieł tak poważnych i niezaprzeczonéj doniosłości, jak: „Życie i utwory Platona,“ przez p. Chaîgnet, profesora w Poitier, „Życie Sokratesa“ przez tegoż, „Seneka i St. Paweł“ pióra p. Aubertin'a, laureata, za ten właśnie utwór, Akademii francuzkiéj,—„Dant i Goete,“ dyaologi Sterna,—rozpisuje się o broszurze p. Klemensa Duvernois, w któréj autor stara się udowodnić bohatérstwo swe w sprawie pod Sedanem. Doprawdy, niepodobna nie podziwiać tego cynizmu, z jakim Francuzi wracają ciągle do téj klęski haniebnéj, uświęconéj, niestety, narodowém głosowaniem powszechném w Bordeaux!... Dziwne to, dziwne!... A oto jeszcze, jakby nadomiar dziwactwa, w niemniéj oryginalny sposób naród ten odzyskuje piérszeństwo swe w Europie, za pomocą „Illustracyi mód,“ na któréj uświetnienie składają się wszystkie najznakomitsze talenta malarskie i rytownicze w kraju.

— Nakłady pp. Wolfa i Gebethnera ciągle nam dają coś nowego. Mówimy tu o książce do nabożeństwa, p. t. „Módlmy się“, i drugiéj z hasłem do pracy, która bodaj czy nie jest życiową modlitwą: „Der Praktische Ackerbaum“ p. Rosenberga-Lipińskiego, przeznaczonéj dla rolników i młodzieży kształcącéj się w tym kierunku. Błogo to brzmi, obok takich wydawnictw, jak „Barbara Ubryk“, „Królowa Izabella“ i „Świat duchów“ z całą dalszą tego rodzaju parantelą.

— Dowiadujemy się z 3-go zeszytu Bibliografii p. K. Estrajchera, że w tece hr. Fredry ojca spoczywają niewydane dotąd komedye: „Dyliżans“ w 4 aktach, „Komedya zwierząt za czasów Stanisława Augusta,“ „Wychowanka“ w 5 aktach, „Żenić się, czy nie żenić?,“ „Dwie blizny,“ „Wielki człowiek do małych interesów;“ „Rewolwer,“ nadto „Obrona Olsztyna“ i libretto do opery dwuaktowéj, p. t. „Rajmund Mnich.“ Bogata kopalnia, a nader pocieszajaca na przyszłość, wobec skromniutkich utworzyków dzisiejszych naszych dramaturgów.

— Towarzystwo zachęty sztuk pięknych ma na rok 1872 dla swych członków fotografie z obrazu „Rybka“ p. Kurelli, bawiącego obecnie w Monachium, w celu naukowo-artystycznym.

— P. Jan Kleczyński, w piérwszych dniach grudnia, ma podobno zamiar urządzić koncert instrumentalno-wokalny. Ewoe—Ewoe! Wszystkie nasze troski utoną w oceanie melodyj koncertów zimowych!

—Dolina Szwajcarska ciągle brzmi koncertami p. Sonnenfelda. Koncerta pp. Kuhne i Lewandowskiego wybrną w końcu na świat z niezależnych od nich *impedimentis*.

—Księgarnia Hösicka przygotowuje dla uczącéj się młodzieży atlas Stielera—i atlasy: Geograficzny, Sprunera i Historyczny do wieków średnich i nowożytnych, Dra T. Menke.

— Dyrekcya teatru Parku w Brukselli układa się o nabycie dla sceny dramatu p. Ad. Belot, p. t. „Artykuł 47,“ przyjętego w Paryżu z wielką sympatyą.

—Wyszedł z druku Kalendarz illustrowany na r. 1872 nakładem p. St. M. Rzętkowskiego. Edycya ta zaleca się pięknemi drzeworytami.

Korespondencya od Redakcyi.

— *Panu K.. z Siedlec.* „Opiekun” będąc pismem poświęconém, z samego już tytułu swego, przeważnie sprawom *wychowania*, ma pretensyą być czytanym przez *starszych* właśnie tylko, a nie przez *dzieci*, które nawet w Warszawie mają inne przeznaczone specyalnie dla siebie pisemko, p. t. *Przyjaciel Dzieci*. Daruj Pan przeto, iż uważając go za... *pełnoletniego*, nie możemy zniżać tonu artykułów naszych dla prostéj tylko z Jego strony, a niewymotywowanéj wcale, uwagi.

— *Panu Janowi Rymkiewiczowi w Rydze.* Wysyłamy pismo swoje jak najregularniéj co Środę, według umieszczonego u góry tegoż, ogłoszenia. Żadnych reklam, z powodu opaźniania się numerów nie otrzymywaliśmy znikąd dotychczas, widać więc że i Poczty tutejszéj nie mamy prawa obwiniać o mitręgę. Zechciéj więc Pan troskliwiéj poszukać przyczyny opóźnienia, a z pewnością znajdziesz ją bliżéj siebie.

Wydawczyni KAZIMIERA MOSCH.—Дозволено Цензурою.—W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście Nr. 415—Redaktor FRANCISZEK GUMOWSKI.